



# **Zagadka jesiennej nocy**

**opowieści z dreszczykiem**

**Armoryka**

## **Zagadka jesiennej nocy**



# **ZAGADKA JESIENNEJ NOCY**

*opowieści z dreszczykiem*

**Armoryka  
SANDOMIERZ 2009**

Redaktor: Włóczysław (Włóczek) Kot  
Projekt okładki: Juliusz Susak

Copyright © 2009 by Wydawnictwo  
i Księgarnia Internetowa ARMORYKA

Wydawnictwo ARMORYKA  
ul. Krucza 16  
27-600 Sandomierz  
tel (0-15) 833 21 41  
e-mail: [wydawnictwo.armoryka@interia.pl](mailto:wydawnictwo.armoryka@interia.pl)  
<http://www.armoryka.strefa.pl/>

ISBN 978-83-7639-026-0

**Andrzej Sarwa**

## **DOGMAT SMUTKU**

Urodziłem się z mgły cmentarnej i kropelki potu. Pytają mnie czasem – ten i tamten – czy mi nie przeszkadza pokrewieństwo z Nosferatu? A ja nie bardzo rozumiem ich zdziwienia, kiedy odpowiadam, że nie.

No bo dlaczego mam się martwić czymś, co mi zupełnie nie wadzi?

Stoję po kolana w morskiej wodzie, poróżowiałej od kropel krwi, które przesączają się z nieszczelnej beczki napęchanej nią po wręby, i kołyszącej się spokojnie na leniwej fali. Każdy może z niej zaczerpnąć do pełna. Tylko po co? Właśnie, tylko po co?

Murena łypie na mnie jednym okiem. Jej nienawiść grzęźnie w ławicy piachu rozpołożonej pomiędzy mną, a resztą świata. I ciągle nie rozumiem czego chce ode mnie.

Przyczajony wypatruję chwili, kiedy będę mógł ją schwycić. Ale ona jest sprytna. O! sprytna! Łypnie kaprawym ślepiem, i daje nura pod wodę. Ale ja mam czas. Dużo czasu. Chwile biegnące z dzisiaj do wczoraj zwolniły kroku, przypa-

trując się gromadzie okrościałych elfów, tańczących swoje ostatnie tango.

Zidiociały Nostradamus ciągle straszy i straszy, a tu – do cholery! – nic się nie dzieje. Bo i co się ma niby dzieć? Zawsze nienawidziliśmy. Zawsze nas nienawidzono. Zawsze będziemy nienawidzili. Zawsze nas będą nienawidzić...

I tak to idzie... Od prawieków...

Stoję po kolana w morskiej wodzie, poróżowiałej od krwi...

I cóż z tego? I to nikogo nie obchodzi.

Ale tam, gdzieś, skądś spoza horyzontu w szeleście nietoperzowych skrzydeł, sunie ku mnie Najlepszy Przyjaciół – Zmierzch Ostatniego Dnia.

Kiwam do niego wyciągniętą ręką. Ale boję się, że może mnie nie zauważyć. Dlatego zaczynam krzyczeć i otwartymi dłońmi bić o powierzchnie pokrwawionych fal. Murena rozpaczliwie porusza ustami, a potem czmycha w głąb poczer-niałego setkami zapomnianych istnień atramentowego oceanu.

Już czas na wspólny posiłek – mój i jego. Szelest skrzydeł nasila się nad moją głową, a w uszach wibruje jęk niespełnionej rozkoszy. Murena przyczajona za następną falą, która zamarła na chwilę z otwartą gębą, także wypatrując czegoś, co by mogło ją zdziwić. Ale wszystko na nic. Błoniaste skrzydła nawet nie musnęły mi czubka głowy. Więc znów stoję po kolana w morskiej wodzie – w lepkiej mazi wszystkiego co się wyrzuca z serc i umysłów, żeby udawać niewinność, i mądrość, i uczciwość.

Nikt nie nabierze się na tę pieśń syrenią rozbrzmiewającą od początku czasu aż do dziś, i do pojutrze.

A... może... może... jednak się nabierze?

Przecież wolimy słuchać syreniego głosu niż spoglądać w chmury rozpędzone na ponurym niebie. Zawsze to przyjemniej. Ze nieprawdzwie? To i cóż?

Narodziłem się z mgieł cmentarnych i kropelki potu...

Popatrz! I któż by pomyślał, że można w ten sposób!

Że niby co? Że aż tyle szczerości na teraz? A na jutro?  
Na jutro też jej wystarczy. Wezmę tę z wczoraj...  
Murena uśmiecha się złośliwie. Szaroróżowy płat płuca jakiegoś marynarza rozerwanego na kawały przez rekina.  
Wyłowię to płuco. Może przyda mi się kiedy już – naprawdę – zbraknie mi oddechu..  
Garść zawieszistych smarków, garść kłaków, dwa guziki od paradnego munduru...  
Garść bluźnierstw...  
Garść pychy...



# Andrzej Sarwa

## STRZYGA

Zdawało się jej, iż przy pływa skądś, z jakowejś niezmiernie dalej. Z czarnej pustki niepamięci i niebytu. Na razie była samą czystą świadomością i niczym ponadto. Zawieszona w próżni niedookreślonej. zawieszona pomiędzy istnieniem a nieistnieniem wiedziała tylko jedno, iż jest, iż po prostu jest.

I właśnie owa myśl natrętna pulsowała w mózgu:

– Jestem... Jestem... Jestem...

Nie wiedziała czy mijają sekundy czy wieki. Jej oczy nie rejestrowały obrazów. Jej uszy nie wychwytywały dźwięków. Cisza i ciemność. Wszechogarniająca, wszechobecna, nieskończona...

Lecz powoli, bardzo powoli jęła uświadamiać sobie, że poczyna podlegać przemianie. Odzyskiwała poczucie własnego ciała. Mrowienie w stopach, zdrętwiałe mięśnie rąk, nieprzyjemny ucisk w kręgosłupie.

Delikatnie zaczęła poruszać palcami, jakby jeszcze nie dowierając, iż może nimi władać zgodnie z własną wolą.

A one – co za radość! – by posłuszne. Zginały się i rozprostowywały w rytm sygnałów wysyłanych przez umysł.

Jakiś ciężar przygniatał jej piersi. Nie, nic na nich nie leżało. To tylko gęste, znieruchomiałe powietrze nie chciało nakarmić płuc i chociaż w nie wnikało, nie syciło przecież.

Już była sobą. Prócz czucia wracała i pamięć. Przesuwały się w niej barwne obrazy przeszłych zdarzeń...

Było lato. Tak, było lato... Za oknem w miniaturowym ogródku rosły malwy. Lubiała się wpatrywać w ich różowe, bordowe, żółte czy białe kwiaty, które zdawały się do niej uśmiechać. Lubiała patrzeć jak pszczoły siadają na płatkach, a potem wsuwają się do środka i spiwszy słodki nektar odlatują ociężałe i całe oblepione żółtym pyłkiem.

Czasami też odwiedzała ją sroka. Była to bardzo odważna sroka, bo zdarzało się, iż przycuppywała na parapecie i przekrzywiwszy łebek, wpatrywała się w leżącą. A później odlatywała, śmiesznie – jak to sroka – machając skrzydłami.

Lubiała patrzeć na mrówki, które w nieustannej procesji, niestrudzenie, przemierzały jedną i tę samą ścieżkę nadpróchniałego parapetu, kryjąc się w szparze pomiędzy futryną, a oblażym z tynku ościeżem okiennym...

Lubiała patrzeć, leżąc wsparta na spiętrzonych za jej plecami poduszkach, bo cóż innego ponadto mogła czuć?

Malwy przekwitły. Obeschły brunatniejąc wysokie badyle niegdyś zielonych łądyg. Sroka nie zaglądała już do izby, bo okno zamknięto na głucho i nawet mrówki gdzieś się zapodziały.

A później, później spadł pierwszy śnieg. Widziała jak wielkie, podobne do gęsiego puchu, płatki wirują w powietrzu i bezszelestnie osypując się z nieba, przykrywają ziemię. Gdy mróz stęzał, nawet pod wielką, ciepłą pierzynę zdarzało mu się wsuwać swe lodowate palce...

Przypomniała sobie, jak dzwoniły dzwony, wzywając na pasterkę. Leżąc tak tutaj, gdy mijały dni, miesiące, gdy zmieniały się pory roku, nauczyła się rozróżniać ich dźwięki.

Dzwonili u Fary, u świętego Piotra, u Marii Magdaleny...  
Dzwonili i w innych kościołach...

Ach, jakże pragnęła móc pokonać własną słabość, wstać, przyodziać się i pójść razem z gromadą ludzi tam dokąd wzywały dzwony. Jakże chciała usłyszeć miłe skrzywienie zmarzłego śniegu pod stopami. Jakże chciała wydychać obłoczki pary, która szadzią osiadała na włosach niesforne wymykających się spod chustki.

Dzwony przestały bić, a ona została sama z mrokiem. Z mrokiem i ciszą. Chyba wtedy płakała, chociaż nie pamięta na pewno. Wie jednak, iż za gardło schwycił ją bolesny skurcz i doznała uczucia bezsilnej wściekłości.

A potem?

Potem czas płynął jednostajnie. Skapywał miarowo, niczym krople wody z okapu dachu, gdzie coraz cieplejsze i coraz wyżej wspinające się po firmamencie słońce, roztopiało brudny i zaskorupały śnieg...

Wybielono izbę. Było czysto i schludnie. Pachniało świeżym wapnem, gotowanymi jajkami, kielbasą, chrzaniem i widłakiem, którym przyozdobiono jedzenie przeznaczone na wielkanocne święta. Cały stół zastawiony był suto. Przyszedł diakon i poświęcił pokarm. Mówił coś do niej, nie pamiętała już słów, ale sens był taki, iż Pan Bóg doświadcza cierpieniem, aby wypróbować naszą wiarę jak ongiś, przed wiekami, wypróbował Hioba.

A potem?... Potem ktoś... nie pamiętała kto... Potem ktoś przyniósł jej bukiet pierwszych złocistych podbiałów. Uśmiechnęła się do kwiatów. Wtuliła w nie twarz, chłonąc z lubością subtelny, ledwo wyczuwalny zapach przedwiośnia... I to było ostatnie co pamiętała...

Teraz otaczał ją mrok i cisza. Czyżby była noc? Może. Ale dlaczego to łóżko jest tak niewygodne? Takie twarde? I czemu płucom brakuje powietrza?

Czucie wróciło już całkowicie, a waz z nim jęły nią wstrząsać dreszcze. Całe ciało przeniknęło dojmujące zimno, wgry-

zając się w każde – zda się włókienko, przesączając się aż do wnętrza kości.

Poczęła drzeć, szczękać zębami. Zimno i duszno.

„– O Boże! – myślała. – Dlaczego tu tak zimno i duszno?”

Chciała szczerzej otulić się pierzyną, wsunąć się pod nią z głową by rozgrzać skostniałe członki, ale próżno szukała jej rękoma. Pierzyny nie było. Za to place natrafiły na coś zupełnie innego. Po obydwu jej bokach znajdowały się deski.

„– Gdzież to mnie przenieśli? – myślała. – Czemu zabrali z mojego łóżka, i ułożyli na tej wąskiej pryczy? Och! Jezusie Nazareński, chyba nie zrobili mi tego, nie oddali do szpitala? Tak pamiętam, doktor owo radził. Chciał mnie zabrać do świętego Hieronima, albo do świętego Ducha. Ale ja się sprzeciwiłam. Przecie kto raz trafi do szpitala, już nie wychodzi stamtąd żywy... A może mi się pogorszyło i oddali jednak wbrew mojej woli?”

Poczuła nagły przypływ sił. Wiedziała, iż da radę unieść się o własnej mocy. Zresztą, musiała wstać, by sprawdzić gdzie się znajduje. Uniosła się tedy raptownie i... z jękiem bólu opadła na powrót na plecy.

Z całej mocy uderzyła bowiem głową o coś twardego, o coś, co znajdowało się tuż, ponad nią. Przed oczyma zatańczyły kolorowe pozłociste skry. Raz jeszcze jęknęła cicho. Gdy ból nieco stępsiał wciągnęła ostrożnie dłonie ku górze, by dotykami zbadać to, o co rozbiła czoło. To była deska.

Jakiś lęk, zrazu niewielki, ale potężniejszy z każdą chwilą, zdławił ją. Poczuła bolesny ucisk w krtani, a potem zdało się jej iż włosy powoli podnoszą się na głowie.

Na oślep dookoła macała rękoma.

Deski, wszędzie deski, chropowate i pachnące jeszcze żywicą. Deski z przodu, z tyłu, z boków, deski nad głową. Wyczuwała palcami miejsca, w których się łączyły. Wyczuwała nierówności i sęki.